

Paweł Kuzora - poeta zadziorny

Ruchliwość intelektualna, diapazon emocji i niestosowności wyrazów składają się na momenty poezji Pawła Kuzory przyciągające ciekawość zawartością jego oryginalnego dyskursu poetyckiego. Mowa tu będzie o tomiku pt. „Chłopak z Knataka. Wybór wierszy”. Czytamy w nim, że „to, że jestem to przypadek / widocznie jako plemnik / lubił się dużo ruszać”, co chyba autorowi zostało we krwi do dzisiaj. Co gorsza, a nie wiem czy jest tego świadomy, że w tej twórczości widać jak na dłoni elementy myśli racjonalizmu nowożytnego, którą prezentowali: Kartezjusz, Błazej Pascal i Gottfried Leibniz, ale o tym później.

Podskórnie, w każdym z utworów poety doświadcza się pewnej mobilności jego myśli wyrażającej się w lęku przed fałszywymi dźwiękami „naszych kłamstw” wkomponowywanych mimowolnie w reguły życia społecznego. Poeta ceni bowiem miłość splątującą dwojga ludzi w „warkocz życia”, choć sam nie rozumie i nie ogarnia emocjonalnie tego uczucia, podobnie jak faktu bezpowrotnej śmierci. Wydaje mu się, że nigdy nie wyrósł z pieleszy dzieciństwa i ciągle wspomina smak „truskawkowej czekolady”. Być może dlatego ciągle jest „głodny na życie”, a nawet na jego formy z przed-wieków, by np. ucztować w wyobraźni z rycerzami i damami dworu. Ciągle pozostaje w zadziornym sporze z matką przyrodą i własną naturą, by się przekonywać, że „miłość jest w nas, jest prawdą”. Pomimo tego sztuka miłości nawet do Boga pozostającej na zewnątrz jego głębi duchowej. Boskość – jakby ją nazwać – kojarzy mu się z ciszą. Kuzora nie ma wątpliwości co do istoty władzy świeckiej pociągającej zawsze za sobą niesprawiedliwość, a więc nieobca jest mu idea mesjanizmu, a wierszu pt. „Kropla” otwarcie deklaruje: „kiedy jestem silniejszy od grzechu / zdejmuję z Jezusa kropkę cierpienia”.

Marzy więc o niebiańskim telefonie, bo obecność Boga w codzienność ludzi go drażni i wolałby z nim osobiście się kontaktować, co wynika z jego wnikliwej obserwacji życia, a w wierszu pt. „Psie pieniądze” pisze: „Bóg jest obecny / chociaż nigdzie niewidoczny // (...) bo komu by się chciało / biegać z krzyżem pod górę // przecież prościej powiedzieć – / jestem tylko człowiekiem”.

Przeprowadza dość heretycki dowód na istnienie Boga, prawie jak w „zakładzie Pascala”, w którym konkluduje: „(...) Bóg naprawdę kochał człowieka / skoro dał to wszystko nawet idiotcie”. Nie trudno zauważyć, że we wszystkich wierszach podejmujących kwestię miłości poeta systematycznie powątpiewa w nią, ale podobnie jak Kartezjusz przekonuje się, że to wątplenie w miłość jest właśnie nią sama. Może więc śmiało powiedzieć, że „kocham, więc jestem”.

W miłości dla Kuzory najważniejszy jest

dotyk, podobnie jak u dziecka, ale i niedosyt, kaprys i nieprzewidywalność życia pod jej egidą. Dlatego uważa siebie za „bosego mordercę butów” w pogoni za tym, co kocha: co przenika świat. Podkreśla, że Polska to dziwny kraj, który może oczyścić z głupoty tylko Herkules, którego tu ciągle brakuje, ale nie proponuje za Fryderykiem Nietschem hodowli rodzimego „nadczołowieka”. Lubi upijać się miłością jak piwem, którego zawsze mu brakuje, a w związku z tym nawet Adam Mickiewicz na Rynku Głównym często dostaje nerwicy, kiedy musi oglądać jego miłosego kaca i woli spływać jesienna ulewą. W wierszu „Bo” poeta zdradza własną dialektykę miłości oto tak: „Wszystko co jest na świecie rodzi miłość. Bo / miłość rodzi miłość, bo człowiek pragnie nieba. Bo / we dwoje łatwiej się okłamywać. Bo dotykam ciebie, / tak jak słońce dotyka horyzontu”.

Miłość dla poety przypomina również „grę w klasy” między kochankami i musi być zawsze o sumie niezerowej. Czas i przemijanie Kuzora widzi z perspektywy „kurzej stopki” w kącikach oczu. Stapiając się z upływem czasu w swym jednostkowym istnieniu ogląda pustkę, czyli – jak pisze – „prawdziwe rzeczy w życiu”. Doświadczenie to powoduje, że z lubością „zanurza się w ogniu życia”, którego paliwem jest ta wszechogarniająca miłość. Ciągle jest jej ciekaw i chętnie poszedłby z nią „na chatę”. Lubi również grzeszyć, choć boi się wtedy własnego cienia, a więc nieustannie spowiada się miarą wersu z własnych skłonności i słabości, które jednak hartują jego siły duchowe i cielesne.

W wierszu pt. „Korzenie” dostarcza dowodu na własną wręcz dziecięcą przewrotność, kiedy pisze: „kiedy byłem chłopcem / wspinałem się na drzewa / jak najwyżej do ostatniego / gniazda dalej byłeś już / tylko ty i tak jak w raj / dałeś mi kobietę / ona też jest drzewem / kocham ją aż do korzeni”.

Oglądając człowieka przez pryzmat własnego doświadczenia egzystencjalnego i z pewnym dystansem, poeta widzi go jako ową monadę Leibniza, która nie ma okien, ale wejść do niej można przez większą monadę, a może „monadę monad”, szczególnie w połączeniu z kobietą, co musi zawsze rodzić niekończącą się chęć życia i pochwałę owoców miłości. Grzebiąc się w „bujnych trawach pościeli” prawie jak dewotka oznajmia, że: „leżę w jego cieniu / wsłuchany w muzykę rzeki / wiem że Bóg istnieje / nawet jeśli go nie ma”.

Poeta nie ukrywa, że jego patronem artystycznym jest Rafał Wojaczek, a w wierszu pt. „Na dobrą okazję”, jemu zadedykowanym, oznajmia: „jeśli ptak może żyć w klatce / rozkoszować się smakiem ziaren / pić wody dziobaniem piór / to możliwe jest bym rozlał / krew do butelki / zaniósł do piwnicy i czekał / na dobrą okazję”. A więc poczekajmy z nim, poczytajmy jego wiersze – może i my spróbujemy tego trunku – bo poeta konsekwentnie zaprasza na emocjonalną ucztę z zakąsek słów.

Niewątpliwie tego typu poezja, którą przedstawia krakowski poeta, jest w dużej mierze społecznie zaangażowana, a autor z

otwartą przyłbicą protestuje przeciw duchowemu ubóstwu ludzi czasów współczesnych. Przypomina im tę prawdę emocjonalną, którą rządzi się rozum, że uczucie miłości było, jest i pewnie będzie owym aksjomatem naszego bytowania w świecie, o które sami musimy się zatroszczyć. W końcu nie można zapomnieć owej rzymskiej maksymy: *Vox populi, vox Dei*.

prof. Ignacy S. Fiut

Paweł Kuzora, „Chłopak z Kantaka. Wybór wierszy”. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2015, s. 84.

Temat tabu

„W Kościele katolickim od stuleci nie istnieje surowsze tabu niż duchowni” – pisał Eugen Drewermann w książce pt.: „Kler. Psychogram ideału”. Eugena Drewermanna nazywano Lutrem XX wieku. Przez lata wykładał teologię na uniwersytecie w niemieckim Paderborn. Był katolickim księdzem, który pragnął odnowy Kościoła. Głęboko wierzący, choć nie według ram, które zostały mu nadane. Swoje tezy opublikował w czterdziestu tomach teologicznych analiz.

Książka Marty Abramowicz „Zakonnice odchodzą po cichu” zawiera dwadzieścia historii zakonie, które „oddały habit”, odeszły z zakonu. Dlaczego podjęły takie decyzje? Mówią o tym, ale ciągle pamiętają, że to jest tabu, tajemnica ich powołania i niech ona taką pozostanie. Byłe zakonnice nikomu nie opowiadają o swoim życiu, nie występują publicznie. Powiedzieć złe słowo na zakon, to stanąć samotnie przeciw Kościołowi. A tego nie chcą.

Istnieje „Savoir-vivre siostry zakonnej”, w którym czytamy: *Nauczyć się ukrywać swoje przeżycia. Jest to niełatwa cnota i wielka sztuka panować nad sobą, by nie dać otoczeniu ciężaru swoich nędz.*

Przełożona zastępuje ci Chrystusa. Należy się więc jej posłuszeństwo – chętnie i zupełnie. Masz ją darzyć dziecięcą miłością.

Posłuszeństwo to podstawa życia zakonnego. Zmuszanie do ślepego posłuszeństwa prowadzi do swoistego niewolnictwa, a w konsekwencji zakonnicy jest coraz mniej (obecnie około 19 tysięcy).

W reportażu Marty Abramowicz jest kilkanaście bohaterek: np. Jola – 23 lata w zakonie, 6 lat poza nim; Jadwiga 2 lata w zakonie, 25 lat poza nim... Itd. Wykaz jest długi, ale ma jedną cechę wspólną. Nie ma mowy o powrocie do zakonu.

Emil Biela

Marta Abramowicz, „Zakonnice odchodzą po cichu”. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2016, s. 221.